



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY  
Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół, kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

## PAULINA KRAKOWOWA.

Dnia 18 Lutego bieżącego roku ciągnął od kościoła Ś-go Krzyża orszak żałobny, liczny jak rzadko, postępujący za trumną, całą pokrytą wieńcami. Odprowadzono tak na miejsce ostatniego spoczynku zwłoki kobiety, wysoce zasłużonej społeczeństwu naszemu w dziele ważnej pracy wychowania publicznego: wieńce na trumnie pochodziły od głęboko do niej przywiązanych, głębokim szacunkiem dla jej pamięci przejętych uczennic, których tłumy liczne towarzyszyły konduktowi. Zmarła, śp. Paulina z Radziejowskich Krakowowa, służyła krajowi na polu pedagogii tak piórem, jak zajęciem czynnym, najpierw za lat pierwszej młodości swojej w zawodzie nauczycielki domowej, następnie jako przełożona jednej z najlepszych szkół naszych dla dziewcząt, a zakład jej miał tę wielką zasługę, że był pierwszym zaznaczającym się krokiem publicznym na drodze nowego postępu w podniesieniu u nas wykształcenia kobiet, wyprzedzając pod tym względem o lat kilka to, co reforma szkół żeńskich z 1862 r. rozszerzyła do szkół tych ogółu. Przejęła ona, współdziałając z nią, myśl poprzedniczki swej na tej drodze, Emilii Goslin, i to, co tamta szlachetna przyjaciółka Narcyzy Żmichowskiej dokonywała w ścisłym, bo niemal domowym, kółku, temu ona dała zakres szerszy, wprowadzając do publicznego kształcenia dziewcząt naszych programat nauk wyższy. Rzecz powiodła jej się szczęśliwie, bo była potrzebą czasu; ale jej to pracowitych trudów, jej osobistości i charakteru jest już sprawą, że pierwszy u nas na szerszą skalę postęp w tym kierunku był dobrym i rozumnym. Ukazując kobiecie drogę do zdobyczy umysłu nowych, strze-

gła, aby nie było uronionem nic z tego, co na skarb serdecznych uczuć kobiecości zachować się godziło, i z tego względu uważana, szkoła jej do wdzięcznej pamięci ogółu prawo jej daje. Pensjonat sam był z początku nieliczny, ale przez szkołę otwartą zakład oddziaływać począł prędko na podniesienie wykształcenia kobiety w Warszawie, i w opinii kraju tak wkrótce stanął, że być jego wychowanką stanowiło chlubę pewną i tytuł honorowy — uzasadniony. Być istotą dobrze wychowaną: szczęście to i razem zaszczyt niewątpliwy.

Ze zmarła umiała wychowywać dobrze, świadczy już to, że grób, w który składano jej zwłoki, otoczyła rzadko kiedy widziana liczba kobiet młodych, a obraz ten, na tle posępnego dnia zimowego, pod niebem ciężko zaciągniętem śniegowymi chmurami, sprawiał silnie wzruszające wrażenie. Jak jedno zacne serce kobiece umiało zadzierzgnąć tyle węzłów słodkich przywiązania, umiało się związać z tylu sercami młodeimi, które będą bić, czuć, żywe piersi wzruszać, gdy tamto oto łono, już martwe i zimne, rozsypie się w garstkę prochu! Do dobrych ziarn, które zmarła zasiała w dusze wychowanek swoich, należy i ta szlachetna chęć uczczenia tego, co czci jest godnem, a pracą dla ogółu, zasługą publiczną, się zowie. Piękny wieńiec wonnych kwiatów, przewiązany szarfą białą, złożyło grono uczennic z 1870 r., mając na swem czele p. Maryą z Szymanowskich Czapelką. Powstała też, między temi uczennicami zmarłej myśl, aby niezależnie od tego, jak rodzina zechce uczcić pamięć zmarłej, one, to jest wyłącznie uczennice, wzniosły kamień pamiętki przewodniczące ich młodości.

Nad grobem przemawiał ze spokojną i poważną prostotą ks. Matuszewski, wykazując jak czystym, szlachetnym, według myśli ewangelicznej pracowitem, było życie ś. p. Krakowowej. Urodziła się 1813 r. w Warszawie, wychodząc z tego ucziwego, głęboko do gruntu swego przywiązanego mieszczań-

stwa warszawskiego, które w owym czasie grupując się głównie w okolicach Starego-Miasta, tworzyło żywioł wskrós swojskością przejęty i starym tradycjom miasta na straży stojący. Matka odumarała ją dzieciątkiem maleńkiem, chował ją przecież z miłością, ze starannością wielką ojciec, który dał jej osieroconemu dzieciństwu rozsądną i czułą wychowawczynię, a razem i nauczycielkę pierwszą, w osobie ochmistrzyni p. Podbielskiej, której wierny obraz skreśliła ś. p. Krakowowa w *Pamiętnikach sieroty*. Ta sierota w wielu rysach charakteru, w wielu wyrazach uczucia — to ona sama. W dziewiątym roku życia weszła Paulina, jako uczennica przychodnia na pensyę pani Eibner, gdzie chęcią, zapalem nawet do nauki i wyższymi zdolnościami umysłu górowała nad innymi, i gdzie zawiązała całe życie trwającą i w losach tego życia ważną rolę grającą, przyjaźń z młodszą nieco od siebie Anielą K., potem zamezną S..., która stała się jej siostrą z wyboru serca. Dziewczątka mieszkaly na Starem-Mieście i blisko siebie; los zdarzył przecież, że małej sieroty owiewało technienie dalekiej przeszłości, która zostawiła tu jeszcze po sobie pamiętek mnóstwo. Dom, który zamieszkiwała dziewczynka, był sławną niegdyś z wykwintu kamienicą Urszuli Mejerin; komnata tak ogromna, że dziś wykroić-by się z niej dało pomieszkanie całe: to pokój, w którym mieszkała w owym dziewiątym roku, od którego poczynają się zgromadzone przez wierną przyjaciółkę wspomnienia z życia zmarłej. Starożytnie jedwabne obicie okrywało jeszcze ściany, a podanie stare przechowane w sąsiedztwie, mówiło, że istnieją skrytymi kurytarzami wiodące ztąd przejścia, jedno do królewskiego zamku, drugie do łoży kościoła dziś popijarskiego, a za czasów Urszuli do kościoła Jezuckiego. Wyobraźnia obu przyjaciółek pracowała także. Przykładano ucho do drzwi w murze zamaskowanych, nasłuchiowano szmerów, czyniono plany dostania się poza tajemnicze podwoje i



zapewne owocem tych wrażeń była pierwsza praca pióra zmarłej: *Romans przez 13-toletnią Polkę*, napisany zaraz po wyjściu z pensji, będącej zakładem naukowym wyższym na owe czasy, bo trzyklassowym. Późniejszy kierunek życia zaznaczył się zatem zaraz na wstępie do niego; sieroctwo, ze smutną swobodą swoją, pomogło tu zapewne, bo matka byłaby może chciała zająć dziewczynkę inaczej; ojciec przecież nie bronił tego wcale trzynastoletniej autorce, aby czas swój poświęcała głównie książkom i pióru. Czytała więc, pisywała, ale pracowała zarazem nad językami, ojciec dopomagał do niemieckiego, a Angielka, opisana we wstępie do *Wspomnień wygnanki*, to nie fikcyjna, ale rzeczywiście istniejąca postać, która przykładała się także w tym kierunku do kształcenia chciwej nauk dziewczyny. To, co stanowi we *Wspomnieniach* powieść, jest już, czy czerpanem z wyobraźni, czy, jak się zdaje, wziętem z opisanego w dziennikach zdarzenia, ale sama osoba bohaterki malowana z natury; taka smutna, ponura, zamknięta w sobie, z dalekiej zamorskiej krainy aż tu do nas zagnana losem, *Wygnanka* mieszkała na trzecim piętrze historycznej kamienicy, młoda dziewczyna znalazła przystęp do niej i związała stosunek.

Ale położenie majątkowe ojca, już starego sędziwego, ulega smutnej zmianie. Dobrobyt, jaki otaczał dotąd młode dziewczę, następnie dorastającą pannę, przepada. Trzeba się rozstać z miłymi kątami, gdzie upływały sierocie pierwsze lata życia, gdzie do niej przemawiała przeszłość. Dwa maleńkie pokoiki w domu rodziców przyjaciółki na rogu Starego Miasta i ulicy Brzozowej, przyjmują ojca i córkę; ale i tu życie staje im się trudnym. Rok 1831 zastaje ich w położeniu bardzo ciężkim. Siedmdziesięcioletni starzec chce wracać do pracy, bierze przedsiębiorstwo szycia koszul do lazaretów wojskowych, szyje je wspólnie z córką; aż oto wielki kataklizm polityczny pociąga za sobą ruinę i tych istnień skromnych. „Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy“, ale okrutny, zdolny łzę litości wycisnąć cios uderza w osmnastoletnią Paulinę; ojciec umiera śmiercią nagłą i smutną i ona zostaje teraz już sierotą zupełną — sierotą bez nikogo z rodziny, bez żadnych zapasów, samotną zupełnie i niemającą gdzie skłonić głowy. Przecież przyjaciółka lat dziecinnych, Aniela K. jest przy niej, rodzice jej przytulają nieszczęśliwą i bolesny rok żaloby Paulina przeżyła u nich.

Istniał pisany przez nią z dnia na dzień pamiętnik całego poprzedniego, obfitego w wypadki, roku, ale była chwila, w której musiała oddać zniszczeniu tę pamiątkę młodości. — Ocalała tylko z niego cząsteczka maleńka, z tych już czasów, na które przypada śmierć jej ojca. Pełno tam szczegółów bolesnych. Pies, opisywany we *Wspomnieniach wygnanki*, tak drogi tej, która nic nie posiadała prócz niego, to także z natury kreślony obraz: osieroczonej Paulinie pozostał po ojcu taki też pies jedynie.

Wzmocniona na siłach, młoda dziewczyna wychodzi w 1832 r. spod gościnnego domu dobrych ludzi na nauczycielkę i pracuje w tym zawodzie do 1837, to jest do zamążpójścia i odtąd życie jej ulega zwrotowi zupełnie nowemu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## NA BIALSKIM ZAMKU

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z czasów Augusta III-go

przez

Józefa Ign. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Do Chrzanówki, w zapadłej kotlinie Podlasia, ku Bugowi położonej, wśród lasów, wydm, mocz-

rów i prawdziwej pustyni, nawet dostać się nie było łatwo. Lubiszewskiego mało kto znał, wiadano, że od lat wielu na wsi się zupełnie zakopał, z niej nie wylazł i żył jak pustelnik, nikogo nie widując prawie.

Pytał o niego Froima Damazy, a stary żyd, kronika chodząca całej okolicy, o nim niewiele powiedzieć umiał. Za młodu — jak wieść niesła, służywał on na dworze Czartoryskich, miał nawet łaski u późniejszego kanclerza, bo do pióra był zdolny, języków się wyuczył kilku i doskonale niemi władał.

Wiodło mu się tam tak szczęśliwie, iż wielką krescytywę dlań zapowiadano. Mężczyzna był, co się zowie, piękny i na pokojach wstydu panu swemu nie czynił.

Nagle, wśród tego zawodu, bez żadnej przyczyny jawnej, która-by się odgadnąć dawała, p. Henryk Lubiszewski, jednego ranka, zabrał się z czem miał i wyjechał nazawsze od księcia, nawet go nie pożegnawszy.

Głucha wieść chodziła tylko, że dnia poprzedzającego scena jakaś bardzo gwałtowna zaszła między księciem a jego amanuenssem. Lubiszewski jak oszalały wyleciał z pałacu i więcej do niego nie powrócił.

Froim dodawał, poruszając na to ramionami niedowierzająco, iż podejrzewano Lubiszewskiego, o jakieś wysoko bardzo sięgające amory, które miały być nie bez wzajemności.

Na wieść swą powróciwszy, Lubiszewski więcej się już na świat nie pokazał. Wpadł jak w wodę. Wiedział on o losach siostry i o jej życiu awanturczem; oburzony niemi, dom jej wymówił, a stonki wszelkie z nią zerwał.

Z temi, bardzo szczupłymi i niepewnymi wiadomościami, Damazy wybierał się do Chrzanówki, od Białej dobre mil pięć odległej. A ponieważ nie chciał, aby o jego obrotach ludzie wiedzieli, postanowił nie brać nawet z sobą Pawluczka i sam jeden konno przetrząść się lasami, według danych skazówek. Przejeżdżając wiele po świecie, miał Damazy doświadczenia dosyć i w podróży, nawet po kraju nieznanym, poradzić sobie umiał. Wyjeżdżając donia z Białej, choć dnie były krótkie, spodziewał się na wieczór stanąć w Chrzanówce, przypuściwszy, że nie zabłądzi. Gdyby mu się to trafić miało, dla konia parę wiązek siana i woreczek z owsem brał na zapas, dla siebie — kawałek chleba i flaszczykę wódki.

Z tą ufnością w Opatrzność, która dawniej odważy dodawała — dniem niezbyt mroźnym, bo się na odwilż zanosilo, p. Damazy ruszył prosto, przez błota zamarzłe, na lasy. Konia miał, którego tak dobrze znał, jak on pana; przeżegnawszy się więc, kłusa go puścił i — zadumał się, co też los mu gotuje.

Droga wybrana, mało uczęszczana, niewiele utarta, a mnogimi ścieżkami, do lasu po drwa prowadzącymi, pokrzyżowana, wymagała pilnej uwagi; nie zbłądził jednak Damazy, i gdy po trzech godzinach dosyć szparkiej jazdy, trafił na karczmykę w lesie, a tu się zaczął rozpytywać o Chrzanówkę, potwierdzono mu, iż był na dobrej drodze i o dwie już tylko mile odległości. Miał więc czas konia tu popaść, sam nieco spocząć; ale, chcąc zasięgnąć wiadomości o Lubiszewskim, przekonał się, iż tu tak o nim mało wiadano, jak i w Białej.

Arendarz nawet rozgadywać się o nim wcale nie chciał.

Za dnia jeszcze, wyjechawszy z sosnowego lasu, podszytego krzakami, zobaczył nareszcie wieś, według opisu, zdającą się być ową Chrzanówką. Ciągnęła się ona długim sznurem, na niebardzo urodzajnej, piaszczystej równinie, a w jednym jej końcu widać było starą cerkiewkę drewnianą z dzwonicą, w drugim, wśród drzew, dwór z wysokim dachem; kilka ogromnych krzyżów drewnianych, kilka olbrzymich sosen, pozostałych z dawnego lasu wśród pól, krajobraz ten smutny urozmaicały.

Z bijącym sercem dojechał Damazy do karczmy w pośrodku wsi, w której ani zajazdu nie było, ani stajni dla konia, tak podróżny był tu rzadkiem zjawiskiem. Arendarz, przestraszony niemal widokiem jego, pokazał się w progu i znikł; do karczmy dla postawienia konia trzeba było nie-

mal szturm przypuszczać. Na zapytanie o pana, nikt mu odpowiadać nie chciał; żona arendarza schowała się do alkierza, a syn, z największą odrazą, zbywał go pół-słowami. Musiał więc Damazy podnieść nieco głos, zażyć rozkazującego tonu i niemal zmusić gospodarza, aby konia przyjął i drogę do dworu wskazał.

Przed zmierzchem chciał być u Lubiszewskiego. Gdzie miał i mógł przenocować: stawało się wątpliwem, gdyż nie ufał już, aby go we dworze przyjęto jako gościa.

Zdała dwór wcale pocziwie wyglądał, daleko porządniej, czystszej, staranniej utrzymany, niż się spodziewać było można. W dziedzińcu, oprócz pary psów, nie było żywej duszy. Gdy furtka u przelazu zaskrzypiała, psy głowy podniosły i larum okrutnego narobiły. Chłopak w szarym kubraku wyszedł w ganek, zobaczył podróżnego, psy napędził i sam wystąpił przeciw niemu.

— Chcę się widzieć z panem, mam interes. Umyślnie z nim przybyłem — rzekł Damazy.

Zmierzywszy go oczyma ciekawemi, wyrostek, słowa nie mówiąc, zostawił go z psami w ganku, a sam zniknął we wnętrzu domu.

Długi czas upłynął, nim powrócił; skinął na Damazego i poprowadził go za sobą.

Jak na taką pustynię zapadła i osławiona — dwór się prezentował bardzo pięknie i trudno było uwierzyć, że w nim nigdy nikt, oprócz gospodarza, nie gościł. Począwszy od sieni, urządzonej był z pewną wytwornością i smakiem, zdradzającym zamiłowanie piękna i ładu. Czystość była rzadko naówczas gdzie u nas spotykana.

Wszedłszy do przyciemnionej izby gościnnej, Damazy nie znalazł w niej nikogo. Miał więc czas lepiej się jej przypatrzeć. Przybrana była ze staroswiecka w części, lecz starannie. Na kominie zegar stał gdański, który miesiące i dnie pokazywał, kilka obrazów ciemnych wisiało na ścianach, na pułkach były pułki dawne, pozłociste.

U okna jednego stał stolicek niewielki, pokryty kobierczykiem, a na nim leżała otwarta książka, jakgdyby ją tylko co ktoś tu porzucił.

Bardzo piękny portret, kobietę w młodym wieku wyobrażający, w ramach owalnych, wisiał na ścianie, a pod nim w mniejszych ramach sylwetka czarna i za szkłem zasuszone gałązka. We mroku na ostatku dostrzegł pan Damazy gitarę, rzuconą na małej sofce.

Wszystko to razem tak mało odpowiadało wyobrażeniu, które sobie o tej pustelni wytworzył gość przybywający, iż zupełnie się tem zbił z tropu i zapomniał, co przygotował był do rozmowy z Lubiszewskim.

Wtem kroki mężkie, śmiałe, żywe, dały się słyszeć z drugiego pokoju i wszedł mężczyzna słusznego wzrostu, wyprostowany, na swój wiek wyglądający młodo, chociaż włosy miał siwiuteńkie, wąsy i brodę białą. Twarz jego, piękna bardzo, duże oczy czarne wyraziste, postawa, miały w sobie coś niemal pańskiego. Zdała począł się przypatrywać pilnie Damazemu i skłonieniem głowy go powitał.

— Przybyłem umyślnie do pana dobrodzieja — odezwał się, pozdrawiając go, Damazy — czy mi wolno będzie sprawę, z którą przyjechałem, wyłuszczyć? Prosiłbym o chwilę cierpliwości.

— Siadaj pan — rzekł krótko gospodarz — słucham go.

— Wiem o tem — począł przybyły — żeś pan dobrodziej uznał za słusne zupełnie się wyrzec wszelkich stosunków z siostrą swą, p. Zaborską. Ani nie będę wchodził, w powody, ani starał się jej bronić. Na nieszczęście p. Zaborska zasłużyła może na to, ale ma córkę, nieszczęśliwą ofiarę....

Lubiszewski się ironicznie uśmiechnął i wyjąknął:

— Ah!

— Czy pan wiesz jaki los jej zgotowano? — zapytał Damazy.

— Nic nie wiem o Zaborskich i nic się o nich dowiedzieć nie pragnę — odezwał się gospodarz. Niezmienne jest postanowienie moje: żadnego z niemi nie mieć stosunku.

Jakby tego ostatniego zapewnienia nie słyszał wcale, Damazy mówił dalej:

— Zaborska z własnej winy popadła w wielką



nędzę. Córka jej już dorosła, piękna bardzo i warta politowania dziewczyna — zwróciła oko księcia chorążego — dziś one obie są na zamku w Białej, a ta nieszczęśliwa w rozpacz umiera.

Czoło Lubiszewskiego zmarszczyło się strasznie. — Jaśnie oświecony ma fantazyje! — zawołał z tłumionym gniewem. — Cóż na to kto może? Tym panom u nas wszystko wolno; ani sądu na nich niema, ani prawa, ani kary.

Począł się śmiać. — Książę krajezy w Czarnawczycach cały seraj przez długi czas pod kluczem trzymał, żonę i dzieci morzył głodem; szalał lat wiele, dopóki wreszcie, duchowieństwo zaczepiwszy, nie dostał się do Słucka na więzienne rekolekcyje. I to, widzisz asindziej, trybunałowi go, ani prawu, nie oddano, ale sama familia uwięziła, sąd złożyła, likretowała rekluzyą, wzięła majątek w zarząd, debertowała żonę, a ten książę, ten książę chorąży, co sobie pannę Zaborską upodobał — zamknął brata w Słucku.

Lubiszewski wstał, wielce poruszony, i śmiać się zaczął, oczy mu pałały gniewem.

— Czegóż asindziej żadasz odemnie? — dodał — Aby mi się ja wdał z chorążym w walkę o pannę Zaborską! He? aby mi wieś najechano? dwór spalono? a mnie wzięto do lochu w Białej i posadzono czekać dnia sądu — ale chyba Bożego!

Śmiał się znowu Lubiszewski, ale nagle śmiech ten ustał. Siadł, podparł się na rękę i zamilkł.

— Ja wcale tego od pana nie wymagam! — rzekł Damazy.

— Ale co mnie ma Zaborska obchodzić? — zawołał gospodarz — a po małym przestanku spytał:

— Któż waćpan jesteś? amant panny Zaborskiej?

Zaczerwienił się mocno Damazy.

— Nie jestem, ani byłem amantem p. Faustyny — począł.

— A! imię ma Faustyny! piękne wcale imię! szydersko wtrącił gospodarz.

— Znałem ją od dziecka i kochałem, kocham. los mnie jej obchodzi, życiem gotów dać, aby ją wyzwolić.

— Życie? proszę? życie — ciąglez szyderstwem mówił goryczą Lubiszewski — Życie — byś dał, aby cię później za to zdradziła i na dudka wystrychnęła! Ale bo to inaczej nie może być. Jaka matka, taka córka, a zresztą, one są takie wszystkie, co do jednej.

Mówił to z jakąś namiętnością gwałtowną, że Damazy, który tu przybył z gorączką — dziwnym skutkiem, często się objawiającym — ostygł znacznie i uczył się śmielszym, niż był.

— Wszystko to być może — odparł — ja świata nie znam, ale dziś kocham, lituję się serdecznie i życie stawię gotów jestem.

— Cóż mnie do tego! — przerwał Lubiszewski — wszystko to są rzeczy zupełnie obce.

— Raczysz mnie pan wysłuchać do końca? — spytał Damazy.

— Historia jest ciekawa! zaprawdę! czemuż nie! — śmiejąc się swym niezdrowym, gniewnym śmiechem odparł Lubiszewski. — Ponieważ pan fatygowałeś się aż tu, aby mi ją opowiedzieć...

— Jestem zdecydowany — ciągnął dalej Damazy z energią zimną — stawić życie dla wyzwolenia p. Faustyny, którą kocham. Z tęsknoty za nią opuściłem Lunewil, gdzie miał zaszczyt być w służbie króla Stanisława.

— No, proszę! — spoglądając ciekawiej ku niemu, odezwał się Lubiszewski.

— Od nikogo nie żądam pomocy osobistej, ale — jestem zmuszony — choć z upokorzeniem — błagać pana, jako krewnego, którego los tej ofiary obchodzić przecie może...

— Nic a nic! — zawołał gospodarz.

Damazy wstał ze stolka.

— Mów waćpan, czego żadasz! — wtrącił Lubiszewski.

— Jestem szlachcic, zowią się Damazy Butrym — mówił przybyły — zdaje mi się, że moje szlachectwo słowo coś jest warte. Tem słowem ręczę i uroczysto poprzysięgam, iż — jeśli żyw będę — pożyczkę powrócę — potrzebuję pieniędzy!

Rozpaczliwie prawie wyrzekł ostatnie słowa, a na czoło pot mu wystąpił.

— A jeżeli żyw nie będziesz? — spytał Lubiszewski szyderczo.

— Jest nas dwóch braci — dodał Damazy — Marcyjan służy za podłowczego u księcia chorążego; gdybym zginął — wiem, że odda za mnie.

Gospodarz wstał ze swego siedzenia.

— Waćpanu się w głowie pomieszało — rzekł. — Powiadasz, że ta panna Faustyna jest na zamku, w jego pazurach, w łapach tego niedźwiedzia — i waćpan, goły, bez grosza, sam jeden, myślisz porwać się na niego, aby mu tę pastwę odebrać!

— Tak! — odparł krótko Damazy.

Lubiszewski przypatrywać mu się zaczął z uwagą.

— Ile waćpan masz lat? — zapytał.

— Dwadzieścia sześć, — rzekł Damazy.

Gospodarz, założywszy ręce na piersiach, stał i śmiał się.

— I byłeś waćpan w Lunewilu, na dworze „filozofa dobroczynnego“! — począł szydersko — no, i powracasz do kraju tak niedojrzałym, jakgdybys nigdzie na nauce nie bywał, nic nie znał, nie słyszał, nie widział!

Śmiech się rozpoczął znowu; nie robił on jednak żadnego wrażenia na Damazym, który, raz zrozpaczywszy, aby mu się tu powieść mogło, znosił co go spotykało, cierpliwie.

— Ja dlatego samego nie powinienem dać i nie dam nic waćpanu, że to-by go mogło wprost pod katowski miecz oddać — rzekł Lubiszewski.

— A ja, jeśli u pana nie dostanę — przerwał Damazy — mam najmocniejsze postanowienie, choćby na gościńcu kogo rozbić, a pieniędzy sobie sprokurować.

— I to wszystko dla p. Faustyny! — zaśmiał się Lubiszewski — dla faworyty księcia chorążego, dla córki tej kobiety, której ja bez obrzydliwości wspomnieć nie mogę.

Damazy milczał chwilę.

— Nie znasz pan Faustyny — rzekł zimno.

— Znam je wszystkie! — odparł gwałtownie Lubiszewski — po matce Ewie wzięły spadek w równej mierze. Panna Faustyna może nawet kochać go, nie przeczę, ale zdradzi, nie dziś, to jutro.

Sam waćpan powiadasz, że nie masz nic — ona już do zbytku nawykła, ubóstwa nie zniesie. Zostaw ją, gdzie jest, weźmie spuściznę po księciu — i znajdzie sobie męża, nie tak wybujałej wyobraźni, jak waćpan, i będzie z nim szczęśliwsza.

Damazy znużony już był tą rozmową.

— Odmawiasz mi pan? — zapytał sucho.

— Odmawiam — rzekł żywo Lubiszewski — popeliłbym kryminał, dając mu nóż, którym się chcesz zarznąć. Jesteś mi wprawdzie nieznanym, obojętnym, równie jak te dwie kobiety, ale do samobójstwa pomagać się nie godzi.

Butrym się skłonił zlekka i zwrócił ku drzwiom. Na dworze, podczas rozmowy, dobrze już zmierzchno. Lubiszewski postąpił za gościem kilka kroków.

— Czekał waćpan — rzekł — nie mam we zwyczajniko przyjmować, ludzi nie lubię i nie żyję z nimi; lecz, bądź co bądź, na noc do Białej nie pojedziesz: wilcy cię zjedzą, nim Radziwiłł rozedrze.

W karczmie noclegu nie znajdziesz: proszę zanoćować we dworze, bardzo proszę.

— Będę panu ciężarem, jeśli ludzi nie lubisz — rzekł, kłaniając się Butrym.

— Jutro waćpan pojedziesz, a ja zostanę z moją ulubioną samotnością. Nocuj waćpan.

Takim jakimś głosem ostatnie wypowiedział zaproszenie, że Butrym, zawahawszy się trochę — pozostał.

— Siadaj i spocznij — dodał Lubiszewski — ja powracam zaraz.

Smutny, podrażniony, lecz daleko spokojniejszy na duchu, niż po otrzymanej odmowie być mogło, Damazy siadł i zadumał się. Całodzienna jazda, choć nawykłego do konia, znużyła. Spuścił głowę, szukał już innych środków. Na Lubiszewskiego nie rachował nic — trzeba było wymyślić co innego. — Ale co?

Po chwili wniesiono światło w srebrnych lichtarzach i gospodarz wolnym krokiem powrócił do pokoju. Nie mówił nic, przechadzał się niespokojny jakiś.

Stał potem i o Lunewil zaczął rozpytywać,

na co Damazy odpowiadał dość krótko i niechętnie. Czuć w nim było myśl czem innem zajętą.

Rozmowa ta, nieidąca łatwo, zaledwie się rozpoczęła, gdy znać dano do wieczery. W domu wcale nie było można dostrzedz tego, że gospodarz żył jak osamotniony pustelnik: wszystko było, jakby przygotowane do przyjęcia ludzi, wytworne, wymyślne, przystrojone. Służba szła cicho i sworno; wieczerza, której umyślnie warzył dla gościa nie mianoby czasu, zastawiona była obficie i smaczno. Podano wino przednie.

Damazy, zgłodniały oddawna, skazany często na chleb i piwo, jadł z młodzieńczym apetytem. O tem, z czem przybył, ani słowa nie było wzmianki, jak długo u stołu siedzieli.

Wrócili potem do bawialni.

Damazy uważał, że Lubiszewski z wielką jakąś ciekawością mu się przypatrywał, badał twarz jego, nie spuszczał go z oka na chwilę.

— Powiedz — że mi waćpan, — odezwał się, gdy zasiedli w gościnnym pokoju po wieczerzy, — ten szalony zamysł wykradzenia jakim sposobem chcesz przyprowadzić do skutku?

— Jeszczem dobrze nie osnuł co i jak pocznę, — rzekł Damazy, — ale panna się zgodziła na ucieczkę. Książę ma wyjechać na sejm do Warszawy, dobiore chwile, wymknie się z zamku i — puścimy się w świat, w lasy, bez drogi.

Załamując ręce, Lubiszewski znowu dawnym śmiechem zaczął chychotać.

— A pogoń? — zapytał.

— A Opatrzność Boża! — odparł Damazy.

— Rzadko ona szalonym sprzyja, a waćpan istotnie ją chcesz tentować, — mówił gospodarz. — Sto przeciwko jednemu stawić można, iż na pierwszej mili was ułapią.

— Może być! — rzekł Damazy, — ale jeżeli jest choć jeden przeciwko stu, że się uciec uda, ona i ja postanowiliśmy próbować. Oboje nic do stracenia nie mamy.

— Waćpan masz brata w służbie u księcia! czy on ci się ofiarował z pomocą? — zapytał gospodarz.

— On! gdzież tam! Wiedzieć nie chce o niczem, — począł Damazy chłodno.

— Przez niego więc możesz wiedzieć, że są nieprzewyciężone trudności, on waćpana powinien był zreflektować.

— Tu żadna reflexya skutkować nie może, gdzie desperacya radzi i panuje.

— Szaleństwo, — dodał, ruszając ramionami, Lubiszewski. Nazwałbym to heroizmem, gdyby przedmiot wart był poświęcenia, — ale córka Zaborskiej!

— Nie znasz pan Faustyny! — powtórzył Damazy.

— Jakże się tam anioł mógł urodzić i wychować pod skrzydłami takiej, niegodziwej — Zaborskiej! — z oburzeniem odparł Lubiszewski. — To wprost rzecz niemożliwa. A dziś, gdy ta dziewczyna przeszła jeszcze przez dwór ów biały...

— Padła ofiarą, ale niewinną! — rzekł uparty Damazy.

— Waćpan jesteś naiwny, jak dzieciak! — dokończył gospodarz z gniewem. — Są fatalizmy, słowo daję, życia ci się zbyć pilno.

Damazy na to nie odpowiedział wcale.

Lubiszewski krokiem namiętnym począł się przechadzać po pokoju, jakgdyby walczył z sobą. Nie mówił długo nic. Parę razy się sam do siebie rozśmiał i westchnął. Tymczasem późno się zrobiło, i Damazy, niechcąc już przeciągać rozmowy przykrej a bezużytecznej, wstał, za czapkę biorąc.

— Pożegnaj pana, — rzekł, dziękując mu za gościnność jego.

— Możesz spocząć przez jutro....

— Muszę powracać.

— Co cię tam pędzi?

— Mój los, — rzekł smutnie Damazy. — On to wygnął mnie z Lunewilu, gdzie mi z łaski króla dobrze było. Temu pan nie uwierzysz; jest w człowieku głos, co mówi mu gdzie i kiedy co czynić ma, a rozkazuje. Radby się czasem sprzeciwił: nie może, tak, jak i tego poznać nie potrafi: czy głos ten Bożym jest, czy nieczystym?

— Fatalista z waćpana! — odparł z uśmiechem



kiem, ale smutnym, Lubiszewski. — Nie będę go więc wstrzymywał, choć mi żal młodości waszej.

Poprowadził go do drzwi i zawołał służącego aby sypialnię pokazał, a na progu, odezwał się uprzejmie:

— Proszę waćpana, abys jutro, nie widząc się ze mną, nie opuszczał Chrzanówki. Mam parę słów do powiedzenia.

Szedł tedy dosyć smutny Damazy za sługą, ale na myśl mu przychodził biedny koń jego, który w nędznej szopie, nienapojony, miał nocować i żal mu się go zrobiło wielce.

— Mój przyjacielu, — odezwał się do chłopaka. — zrobiłbyś mi przysługę znaczną, za którąbym ci się odwdzielił, gdybyś znalazł sposób zaprowadzenia mnie, bo sam nocą nie dam sobie rady z psami waszemi, do mojego konia, którego mu żyda zostawił.

— Koń dawno u nas w stajni, napojony, nakarmiony i słomy po podesołano, żeby się wyleżał, — rzekł chłopak, — bądźcie, panie, spokojni.

Odetchnął Damazy łżej.

— Niechże wam Bóg płaci! to i ja zasnę spokojniejszy; a zbudź mnie, proszę, gdy dzień się robić zacznie.

W izbie dla siebie przeznaczanej znalazł Damazy łóżko aż nadto wygodne, na którym, i ze zmęczenia, i ze zgryzoty ległszy, zasnął zaraz twardo.

Lubiszewski mu się wydał tak osobliwym człowiekiem, jakiego w życiu nie widział, zdziwiałym i zgrybiałym w tej samotności, a mimo to obyczaju, na szlachcica, nazbyt pańskiego. Nie mógł go cale zrozumieć. Było w nim coś, co od niego odrzucało i co do niego ciągnęło. Gdy się obudził zrana, chłopca postrzegłszy u łóżka stojącego, w oknie był dzień biały: pośpiesznie się więc odziewać począł, aby nadto się do Białej nie opóźnić, zwłaszcza, że pod samem miasteczkiem lasy były, w których po nocy łatwo mógł zabłądzić.

Ze śniadaniem czekał go już gospodarz, odziany jak wczoraj, ale twarzy spokojniejszej. Mówił już o Zaborskich nie było wcale, zagadywał go tylko o księcia i co tam na dworze słycać było, ale Damazy, swoim zajęty, mało co wiedział. Gdy się śniadanie skończyło, wstał Butrym, dziękując a żegnając; powstał i Lubiszewski.

— Odmówiłem waćpanu wczoraj pożyczki i na ten cel, na który jej żądałeś, dziś też odmawiam, — rzekł, — ale, mam nadzieję w rozumie waćpana, że od szalonej tej imprezy odstąpisz: więc żebyś, dopóki sobie miejsca nie wynajdziesz, troski nie miał, ofiaruję, co mogę. Oddasz mi, gdy będziesz mógł. Skryptu żadnego nie wezmę. Niech Bóg prowadzi!

(Dalszy ciąg nastąpi)

## KARTKA DO DZIEJÓW CYWILIZACYI

DROGA DO WNETRZA AFRYKI

przez

Dr Antoniego Rehmana.

Afryka jest tą częścią ziemi, która dotąd najmniej poznana została. Tajemnicza zasłona, jaka do niedawna jeszcze pokrywała wnętrze tego olbrzymiego lądu, budzi tem większy podziw, jeżeli zwązmy, że odległość, dzieląca go od Europy, jest bardzo małą i łatwą do przebycia i że północna jego część była od niepamiętnych czasów zamieszkałą przez ludy ucywilizowane, które z mieszkańcami południowej Europy w bezustannej zostawały styczności. Afryka wyprzedziła nawet w rozwoju dziejowym Europę. Nad brzegami Nilu powstało w odległej starożytności wielkie i doskonale zorganizowane państwo, z którego świat klasyczny czerpał przez długie wieki bogate zasoby moralne i materialne, a którego ślady przechowały się do dziś dnia w piramidach, obeliskach innych zabytkach sztuki.

Na wybrzeżach morza Śródziemnego osiedlali się tutaj zwolna cudzoziemcy, przeważnie semickiego pochodzenia, a warunki bytu, jakich ta ziemia dostarczała, musiały być bardzo korzystne, bo osady te rosły i potęgniały z nadzwyczajną szybkością. Za Semitami przyszli Rzymianie, niezwyciężone orły rzymskie zawojuwały cały znany podówczas obszar Afryki, ale nie przebyły nigdy pustyni Sahary. Świat rzymski znikł z kolei wśród powodzi zastępów muzułmańskich, które nie tylko zalały Afrykę od ujścia Nilu po słupy Herkulesa, lecz przebywszy Cieśninę Gibraltarską, usadowiły się na półwyspie Iberyjskim; pomimo to nie pokusiły się jednakże o zajrzenie do wnętrza owej części ziemi. Po wyznawcach Mahometa przyszła znowu kolej na ludy europejskie; ale i tym razem kolonizacja ograniczyła się do brzegów morza, a wewnątrz Afryki pozostało nieznane i nieznane.

Kto wie, z jaką szybkością rozpostarła się kolonizacja w Ameryce, jak rychło powstały tam państwa współzawodniczące w rozwoju ze starą Europą, ten mimowoli przychodzi do tego przekonania, że afrykański kontynent musi posiadać jakieś szczególne własności, które stawiały i stawiają tamę szerzeniu się kolonizacji i przeszkadzały poznaniu powierzchni tej części ziemi. Przeszkoda taka istnieje rzeczywiście i leży w fizycznym ustroju Afryki. Północna jej część jest oddzielona od reszty bezwodnymi pustyniami, które nie nadają się na mieszkanie dla ludzi, a dla komunikacji, z powodu swych rozmiarów i własności fizycznych (brak wody, paszy dla zwierząt jucznych, skwar słoneczny i t. d.), stawiały zawsze i stawiają dotąd, nieprzebytą zaporę. Starożytni znali tylko wązki pas Afryki, wzdłuż brzegów Morza Śródziemnego; ale o rozmiarach Sahary nie mieli wyobrażenia i nie przeczuwali, że poza jej piaskami znajdują się ziemie, których poznanie nieobliczone przyniosłoby im było korzyści. Ich wyprawy handlowe szły wszędzie, gdzie się otwierało pole do zarobku. Sprawdzali oni jedwab' i drogocenne kamienie z Indyj, konie ze wschodu, bursztyn z południa, perły z Bałtyckiego, cynę z Wysp Brytańskich; ale nie pokusili się nigdy o przebycie afrykańskich pustyni, bo nie przeczuwali, że poza tą przeszkodą znajdują się olbrzymie obszary o urodzajnej glebie i bujnej roślinności, bogate w złoto i kość słoniową, zaludnione gęsto Murzynami, za których w Egipcie droga płacono.

Wiek Średni nie tylko nie przyczyniły się do usunięcia tajemniczej zasłony, jaka pokrywała tę część ziemi, ale chorobliwa fantazja ówczesnych ludów zaludniła ją nadto dziwami i potworami, które do bliższego jej poznania bynajmniej nie zachęcały. Stanowczy przełom w tym kierunku nastąpił dopiero z końcem XV stulecia. Opłynienie zachodnich brzegów Afryki dało początek całemu szeregowi wielkich odkryć geograficznych. Na ośm lat przed odkryciem Ameryki, portugalski żeglarz Bartholomeo Diaz, odkrył Przylądek Dobrej Nadziei, dał współczesnym wyobrażenie o rozmiarach Afryki i wskazał drogę do jej poznania.

Można się było spodziewać, że ta część ziemi, tak bliska Europie, tak bogata w płody wszelkiego rodzaju, stanie się teraz celem przedsiębiorczych wypraw, które, nie tylko wyzyskają narazie jej bogactwa, ale pozwolą nadto zbadać ją na wskroś i położyć podstawę jej przyszłej cywilizacji. Doświadczenie przekonało inaczej, bo właśnie Ameryka, chociaż oddalona od Europy o całą szerokość oceanu, stała się przedmiotem wyłącznego zajęcia dla świata ówczesnego, a równocześnie celem licznych wypraw wojennych i emigracyjnych. Powodzenia Hiszpanów w Meksyku i Peruwii obudziły, co prawda, zazdrość Portugalczyków, którzy, nie spuszczać z oka Ameryki, próbowali równocześnie szczęścia w Afryce. Opłynęli oni ją dokoła i założyli na kilku punktach osady, ale wszelkie ich usiłowania dostania się do środka tego kontynentu, spełzyły na niczem, a kolonie ich w długim lat szeregu na drodze rozwoju żadnego prawie nie zrobiły postępu.

Porównyując losy osad europejskich w tych dwóch częściach ziemi — zmuszeni jesteśmy mimowoli postawić zapytanie: dlaczego Ameryka sprzyjała bardziej ich rozwojowi niż Afryka; dlaczego

tam wzniosły one się tak wysoko, że współzawodniczą dzisiaj z Europą, podczas gdy wnętrza Afryki, ze swymi ludami, dziś jeszcze przedstawia stan pierwotnej, chaotycznej dzikości?

Różnica ta była wynikiem kilku przyczyn. Przedewszystkiem powodowali się ówczesni wyślanicy cywilizacji, chociaż szli naprzód z krzyżem w rękę, wyłącznie żądzą zdobycy. Złoto było ich ideałem, a przywłaszczający sobie bajeczne skarby Inkasów i Azteków, nie dbali o złoty piasek, nabywany z trudem od Murzynów afrykańskich. Następnie walka w otwartym polu odpowiadała lepiej ich usposobieniu, aniżeli bezustanne zapasy z ukrytym w bezdennej leśnej puszczy nieprzyjacielem. Dalej: klimat Ameryki okazał się dla Europejczyków mniej niebezpiecznym od afrykańskiego. Ale najważniejszym bezwątpienia powodem była łatwość komunikacji. W Meksyku i Peruwii, wśród niebezpiecznych wierzchołków Kordylierów, znaleźli zdobywcy bite drogi, jakichby im niejedna kraj ówczesnej Europy mógł pozazdrościć, a do wnętrza krajów mniej ucywilizowanych, jak naprzykład Brazylii, torowały im przystęp olbrzymie rzeki, spławne od brzegów morza aż do stóp Kordylierów. Nie było tego wszystkiego w Afryce. Rozliczne plemiona murzyńskie, zamieszkujące przestrzeń tej części ziemi, od niepamiętnych czasów w bezustannej ze sobą zostawały wojnie i dlatego nie tylko nie dbały o dobre drogi, ale zacierają swe ślady, a gdzie to było niemożliwym, stawiały zasadzki na nieprzyjaciela. Nie braknie, co prawda, Afryce rzek, które pod względem rozmiarów i obfitości wody mogą iść w zawody z amerykańskimi, ale rzeki te są poprzerywane wodospadami i do żeglugi nieprzydatne. Największe z nich, jak Nil, Kongo i Zambezi, łączą wnętrza Afryki z brzegami morza i mogłyby olbrzymie świadczyć usługi, gdyby nie ta okoliczność, że wodospady występują już w niewielkiej od brzegów odległości i stanowią dla żeglugi nieprzebytą zaporę. Dlatego też, gdy większe rzeki południowej Ameryki, jak Oryoko, rzeka Amazonki i Laplata torowały w pierwszej chwili drogę do wnętrza tej części ziemi, gdy z początkiem bieżącego stulecia ułatwiły naukowe podróże ludziom takim, jak Humboldt i Martins, a obecnie ożywiają je parostatki wszystkich narodów: rzeki afrykańskie żadnej cywilizacji nie oddały usługi; ograniczyła się ona tam tylko do brzegów morza a wewnątrz Afryki jest dzisiaj taką samą dziką, nieprzystępną i nieznaną nam puszczą, jaką było przed trzystu laty.

Zasługa przedarcia się do wnętrza Afryki i uchYLENIA tajemniczej zasłony, jaka pokrywała serce „czarnego kontynentu“ przypadła w udziale angielskiemu misjonarzowi Livingstonowi. Potrzeba było jednakże amerykańskiej przedsiębiorczości, ażeby dzieło podjęte przez niego do skutku doprowadzić. Pisząc te słowa, mamy na myśli obecną czynność Stanleya. Zawód afrykańskiego podróżnika rozpoczął on od tego, że jako zaledwie z nazwiska znany współpracownik kilku amerykańskich dzienników udał się kosztem ich nakładców do Afryki, celem odszukania Livingstona, który od kilku lat znikł był bez wieści. Spełniwszy z powodzeniem to jedno zadanie, postanowił spełnić i drugie, to jest wprowadzić w życie myśl, która przewodziła ustawicznie Livingstonowi.

Domyślali się oddawna geografowie, że rzeka Kongo, wpadająca w bliskości równika do zatoki Gwinejskiej, musi czerpać swe wody w ogromnej odległości od ujścia, że przecina sam nieznany środek Afryki, i że gdyby dała się użyć do żeglugi, wnętrza Afryki zostałoby jednym cięciem dla cywilizacji otwarte. U jej ujścia krążyły od dawna okręty, ale w odległości 32 mil napotykały na nieprzebytą zaporę, utworzoną przez wodospady Yellala. Nikt nie przedarł się poza te wodospady i nikt nie wiedział, co się za niemi znajduje.

Stanley postanowił rozwiązać tę zagadkę i wybrał się (1875 — 77) na zbadanie tej rzeki. Przekonał się, że poza wodospadami Yellala, rozrzuconymi na obszarze czterdziestu mil, rzeka Kongo tworzy wspaniałą wstęgę wodną, długą na



dwieście mil, tak głęboką, że największe rzeczne parostatki mogą się po niej swobodnie poruszać, i że wpada do niej na tej przestrzeni dziesięć innych rzek, obfitujących również w wodę i nadających się doskonale do żeglugi. Przedsiębiorczy Amerykanin zrozumiał odrazu doniosłość tego odkrycia. Wiedział on doskonale, jakie znaczenie ma dla Północnej Ameryki rzeka Missisipi, a dla Południowej rzeka Amazonek, wiedział, że woda przedstawia najtańszy i najłatwiejszy do wyzyskania środek komunikacyjny i że gdyby mu się udało rzucić na wody rzeki Kongo kilkanaście parostatków, zadanie ucywilizowania środkowej Afryki zostałoby spełnionem, kraje obejmujące tysiące mil kwadratowych stanęłyby otworem dla kolonizacyi, a bogate ich płody naturalne wynagrodziłyby sownie przedsięwzięcie.

Ale wykonanie tego pomysłu nie było tak łatwym, bo, ażeby przenieść chociażby tylko jedną łódź parową mniejszych rozmiarów ponad wodospadami Yellala, zamykającymi rzekę Kongo od strony morza, trzeba było zbudować drogę, co w kraju takim, jak Afryka, wymagało olbrzymiej pracy i kapitałów. Stanley zwrócił się w tym celu do „Międzynarodowego Stowarzyszenia Afrykańskiego“, na czele którego stoi król belgijski. Projekt tak wielkiej doniosłości został przychylnie przyjętym; — Stanley znalazł się nagle w posiadaniu potrzebnych pieniędzy i czterech parostatków i podjął się spełnić swoje zadanie w ciągu lat trzech.

Ażeby ocenić, w czem to zadanie rzeczywiście polegało, przyjrzyjmy się bliżej budowie rzeki Kongo. Wpada ona do Zatoki Gwinejskiej szerokim korytem i posiada tutaj we wszystkich porach roku taki zasób wody, że nawet okręty większych rozmiarów mogą się po niej swobodnie poruszać. Ale w odległości 32 mil od morza rozpoczyna się wzmiankowany powyżej szereg wodospadów. Jest ich dwadzieścia pięć, a są rozrzucone na linii czterdzieści mil długiej, i właśnie ta część rzeki, jako nieprzydatna do żeglugi, musiała być zastąpiona drogą bitą, mającą służyć na razie do przeniesienia parostatków, przeznaczonych do wnętrza kraju, a następnie do utrzymywania komunikacyi pomiędzy niższą i wyższą częścią rzeki. Wodospady te tworzą dwie grupy: niższą, sięgającą po wioskę Isandzyla, obejmuje obszar mil dziewięćciu, a wyższą od Mandzangi do Czumbiry mil jedenastu. Ponieważ na obszarze rozdzielającym te dwie grupy, czyli od Isandzyla do Mandzangi, koryto rzeki jest znowu wolne od wszelkich przeszkód i może być użytem do żeglugi, przeto odpada przestrzeń mil dwudziestu, a droga omijająca właściwe wodospady zajmie tylko połowę całej długości, czyli także mil dwadzieścia.

Plan Stanleya był bardzo prosty. Postanowił on pozostawić dwa parostatki nad brzegiem morza, dla użytku na dolnej przestrzeni, jeden przenieść na przestrzeń średnią, zamkniętą wodospadami, a jeden na górną, i przeznaczyć go do żeglugi w głębi kraju.

(Dokończenie nastąpi)

## SĄD KANTA O KOBIECACH.

Przeszło sto lat temu po Królewcu, a głównie po jego okolicach, codziennie o jednej i tejsamej porze, przechadzał się człowiek bardzo skromnej powierzchowności. Spacer ten odbywał on z taką punktualnością, że mieszczanie nie potrzebowali patrzeć na zegary, aby wiedzieć o której godzinie wychodził i wracał. Żebracy, spostrzegłszy wcześniej od innych akuratność i szczerobliwość owego jegomości w czekoladowej oponczy, również o tejsamej porze, w tejsamej stronie się gromadzili. Lubownik przechadzek obdarzał wszystkich jałmużną, rozdając ją zawsze w jednym miejscu, nazwanem „schadzka filozofów“, aż w końcu to żebractwo tak już naprzykrzonem się stało, że miłośniery człowiek zmienić musiał całkiem kierunek wycieczek swoich z miasta.

Tą ofiarą żebraków był Emmanuel Kant, największy z filozofów niemieckich, którego imię jasnie blaskiem Syryusza na widnokręgu historii filozofii powszechniej.

Kant posiadał głęboki rozum i wiedzę rozległą. Umysł jego odznaczał się rzadką oryginalnością, ulegał wewnętrznej potrzebie opierania się na samym sobie i działania własnymi środkami. Obdarzony nadzwyczajną pamięcią i bogatą wyobraźnią, Kant zarazem uderzał swoją potęgą analityczną. Pojęcia jego sięgały zawsze do dna rzeczy, a żadne gotowe zjawisko natury czy życia ludzkiego, nie uszło przed jego bystrym rozumem; wszystkie rzeczy, że tak powiemy, rozkrawał. Wbrew ustalonemu mniemaniu, lekcy Kant, mianowicie logiki, odznaczały się jasnością wykładu. Jeżeli przedmiot wzięty był z dziedziny moralnej, jak bywało na odczytach publicznych, Kant z filozofa zamieniał się na ognistego i estetycznego mówcę. Ież-to razy, mówi biograf jego Jachmann, wyciskał on nam łzy z oczu; jakże umiał władać naszymi sercami, podnosić nasze dusze i zmuszać nas do poddawania się prawom etyki! A dalej świadczy tensam pisarz:

„Zdawało nam się często, podczas odczytów takich, że mędrzec ten—to prorok natchniony. Stanowczo można twierdzić, że w całym audytorjum nie było ani jednego człowieka, który-by nie stał się lepszym pod wpływem moralnych nauk Kanta“.

Kant nauczał, tak słowem, jak i czynem; całe jego życie mogło służyć za przykład enoty. Gotując się na śmierć, wyrzekł: „że spokojnie staną gotów przed sąd Boga, mocno bowiem jest przekonany, że w całym życiu swoim nie wyrządził świadomie nikomu najmniejszej krzywdy“. Umarł, mając 80 lat. Nigdy nie był żonatym.

Najlepszy biograf Kanta, Kuno Fischer, przypisuje mu pewne dziwactwa. Wobec tego powie dzieć potrzeba, że jeżeli Kant się nie ożenił, to nie wskutek wstępu do małżeństwa lub z jakiejś melancholii; przeciwnie, lubił bardzo towarzystwo kobiet, chętnie z nimi rozmawiał i umiał oceniać żywe piękno, chociaż nigdy nie poddawał się porywom serca; ale mimo to pozostał kawalerem, bo w młodości zmuszała go do tego bieda, a potem, kiedy już osiągnął dobrobyt, na małżonka, jak sam się wyrażał, nie był już zdającym. Wnosząc z tego, jak doskonale urządził na starość swe gospodarstwo domowe, jak codziennie zapraszał do siebie gości, sądzić można, że aż do końca życia uczuwał potrzebę koła rodzinnego. Są jeszcze inne przyczyny. Surowa, prawie pedantyczna, akuratność w byciu domowym, słabe zdrowie, wymagające absolutnego spokoju, i, nakoniec, zbyt poważne zajęcia umysłowe, może być tylko przy niezamąconej ciszy: wszystko to spowodowało, że Kant lękał się wprawdzie wprowadzić do swego istnienia żywo obcy, nieznany, niepewny, mogący zarówno szczęściem obdarzyć, jak i nieszczęściem życie całe, duszę całą przytłoczyć. Małżeństwo wogóle przedstawiało się Kantowi jako sprawa przyrody. Nie lubiał, kiedy go swatano, raz nawet nie na żart się rozgniewał i uciekł z towarzystwa, kiedy jeden z obecnych pozwolił sobie wprost pomówić z nim w tej materii.

Z biografii Kanta napisanej przez Fr. Szuberta widzimy, że niektóre kobiety wywarły ogromny wpływ na treść charakteru i na całe życie tego filozofa; naczele ich zaś stoi matka jego, Anna Regina z Reiterów. — „Nigdy nie zapomnę mej matki, mówi sam Kant, ponieważ ona to zasadziła i wychoowała pierwszy rozsądek dobrego, rozbudziła pojęcia moje i rozszerzyła ich zakres; kierunek jej wywarł zbawienny wpływ na całe życie moje“.

Anna Regina Kant była kobietą mało wykształconą, a nawet nie świetnych zdolności; lecz za to, obdarzona nadzwyczajną tkliwością kobiecą, chociaż nie posiadała naukowej wiedzy, potrafiła synowi, w czasie codziennych przechadzek, objaśniać różnego rodzaju zjawiska natury i temsamem rozbudziła w nim miłość dla prawdy i żądę wiedzy. Religijność matki w tem wszystkim również wpływ zbawienny wywarła. Swobodny myśliciel, twórca „Krytyki czystego rozumu“, wyrobił w sobie wszystkie przymioty na to, żeby stać się, nie tylko znakomitym myślicielem, ale i pedagogiem. Matka Kanta była przyczyną i te-

go, że młody jej syn, wstąpiwszy na uniwersytet, uniósł w duszy najczystszy, najzaczniejszy obraz kobiety, — wskutek czego później zawsze okazywał najgłębszy szacunek dla płci żeńskiej. To było dziełem matki; poglądy zaś, które przy końcu dzieł swych o kobietach umieszczał, a które ukazują i tu Kanta jako głębokiego znawcę i myśliciela, ustaliły się w jego umyśle przez wpływ kobiet wyższego towarzystwa i z wyższem wychowaniem.

W przeciągu dziewięciu lat, od 1746 do 1755 r., Kant przebywał w różnych zamożnych domach w okolicach Królewca, w charakterze nauczyciela; najpierw pełnił te obowiązki u barona Hülsena, którego synowie nie przestawali się uczyć u niego nawet wtedy, kiedy filozof nasz zajmował już katedrę w uniwersytecie. Tu nadmienić wypada, że owi wychowawcy Kanta byli pierwszymi z pruskich obywateli, którzy swych włóścian oswobodzili od poddaństwa. Następnie od Hülsena przeszedł Kant do hr. Kayserlinga. Pobyt w tym domu wywarł szczególny wpływ na rozwój jego umysłu, rzadkimi bowiem zjawiskami na świecie są takie kobiety, jaką była hr. Kayserling: przesliczna, rozumna, świetnie wychowana, nadzwyczaj bogata, odegrywała ona pierwszą rolę w wyższych sferach towarzystwa królewskiego i nadawała mu ton. Niewidzialnie, z nadzwyczajnym taktem, ona i cała jej rodzina, potrafiły wciągnąć Kanta w wyborowe swoje towarzystwo i wywołać w charakterze tego zaciętego wroga jakich-bądź więzów towarzyskich taki przewrót, że później Kant sam się starał wyrobić w sobie delikatność w obejściu, elegancją i nadać zawsze taki obrót wysłowieniu się swemu aby samą formą od szlachetnie arystokratycznego otoczenia swego nie odbijać. Długiemu pobytowi w domu hr. Kayserlingów zawdzięcza Kant swój talent przedstawiania najzawilszych zagadnień z taką jasnością, iż wykład jego przykuwał do siebie nawet słabo rozwinięte umysły.

Nie można pominąć jeszcze jednej rodziny, w której kobieta wywarła również łagodzący swój wpływ na głębokiego myśliciela. Żona starszego leśniczego okręgu królewskiego, pani Wobeser i mąż jej, oboje zaci i wykształceni ludzie, potrafiłi dom swój tak urządzić, że stał się on ulubioną schadzka wszystkich uczonych wówczas w Królewcu, a w tej liczbie i Kanta. Tu właśnie nauczył się nasz filozof od doświadczonej gospodyni sztuki łączenia prostoty i skromności z komfortem i smakiem. Kuno Fischer pisze, że nikt lepiej nie potrafił tak żywo interessować się kwestyami gospodarstwa, jak Kant, i że o tem mianowicie lubił rozmawiać z młodemi kobietami.

Kant wogóle był bardzo leniwym do korespondencyi; dwa jego listy ocalały tylko, pisane do kobiety. W pierwszym z nich, do panny Knobloch, wypowiada filozof swój pogląd na jasnovidza Swedenborga; w drugim podaje do pani v. Funk słowa pocieszenia dla serca strośkanego, z przyczyny śmierci syna, w którym sam utracił najmilszego ucznia.

Prócz tych dwóch listów zostawił Kant rozprawę, wyjaśniającą dostatecznie jego pogląd na kobiety i sąd jego o nich; tytuł jej: *Beobachtungen über d. Gefühl des Schönen u. d. Erhabenen* (Spostrzeżenia nad uczuciem piękna i szczytności), napisane podczas pobytu na wsi u leśniczego Wobesera. Napawając się letniami wakacyami w 1766 roku w kole życzliwych mu, przywiązanych i rozumnych istot, Kant z zachwyceniem opracował obrany temat: i oto dlaczego sam wykład tak ważnej kwestyi nosi na sobie piętno artyzmu; zwroty mowy krasomówcze przyozdabiają myśl genialną; filozoficzna terminologia uproszczona i kompletnie dostępna nawet dla niewtajemniczonych w całe w filozofii i estetykę<sup>1)</sup>.

Kant powiada, że mężczyzna powinien być uosobieniem szlachetnych, wzniosłych uczuć, kobieta uosobieniem wszystkiego, co piękne. Twierdzi dalej, że największa różnica pomiędzy charakterami

1) Rozprawę tę znaleźć można w łatwo dostępnej *Philosophische Bibliothek Kir hmann*, mianowicie w tomie: *Immanuel Kant's Vermischte Schriften u. Briefwechsel* (Berlin, 1874 r., Erich Koschny (Heyman's Verlag) str. 1 do 6<sup>o</sup>. (Przyp. Red.)



obu płci na tem polega, iż w kobiecie bardzo wcześnie rozwija się zamiłowanie piękna, wdzięku i świetności; dziewczynki od małości już cieszą się, gdy je pięknie ubierają; są porządniejsze od chłopców, mają silniejsze wstręt od wszystkiego, co obrzydzenie sprawia; lubią bardzo śmiać się, żartować i dłużej zachowują skłonność do zajmowania się przyjemnymi drobnostkami (*esprit des bagatelles*): wtedy, gdy chłopcy wcześniej poważniają. Za to młoda dziewczeczka wcześniej zaczyna pojmować układ towarzyski. łatwiej odgaduje dobry ton i wyżej go ceni; umie wcześniej zachowywać się, jak należy, w towarzystwie, umie panować nad sobą i rzadko się z czemś niepotrzebnym wygada; podczas gdy chłopiec w tym samym wieku zawsze bywa niepowściągliwym, rubasznym i okropnie niezadarnym.

Według Kanta kobiety są obdarzone taką samą siłą umysłu jak mężczyźni; ta tylko zachodzi między nimi różnica, że pierwsze mają umysł błyskotliwszy, drudzy — głębszy. Z uwagi na tę właściwość umysłu kobiecego Kant radzi z samego początku kształcić serce młodego dziewczęcia, a następnie dopiero rozwijać głowę. Zdaniem jego rozwijanie umysłowości kobiety z ujmą dla jej uczuciowości, wyrządza jej wielką krzywdę, bo rzeczywistym powołaniem kobiety nie jest mędrkowanie, a nawet mądre pojmowanie świata, ale kochanie i działanie przez miłość.

W uczuciach moralnych obu płci Kant dostrzega następującą różnicę. Cnota u kobiety jest rzeczą przesliczną; u mężczyzny — szlachetną. Kobieta stroni od złego, nie z zasady, lecz dlatego, że jest ono dla niej obmierzłe i obrzydliwe; cnota w jej oczach dlatego właśnie dobrą jest, że stanowi moralne piękno. Same nawet błędy nęcą kobietę swoim pięknym powabem: kobiety miewają swoje *piękne błędy*. Najdotkliwszym wydaje się dla kobiety wszelki przymus, wszelki żelazny obowiązek; nie lubi ona czynić nic takiego, co czynić potrzeba, ponieważ tak, a nie inaczej, być powinno. Kant ze swych spostrzeżeń doszedł do tego wniosku, że swobodny umysł kobiety nie cierpi żadnego rodzaju rozkazów i więzów; kobieta lubi czynić tylko to, do czego sama czuje skłonność, co jej samej się spodoba: sztuka więc w wychowaniu kobiety powinna polegać na tem, żeby ją przynaglić do kochania tego, co dobre.

Doznane krzywdy, nieszczęścia wywołują w jej delikatnej duszy bolesć, ujawniającą się łzami; u mężczyzn zaś łzy bolesci lub szczęścia są dowodem słabego charakteru lub fizycznej niemocy. Względność Kanta dla kobiety nawet do tego dochodzi, że stara się on wytłómaczyć zalotność i próżność przez silną skłonność do hołdów, a następnie i pochlebstw. Obie jednak powyższe wady charakteru kobiecego dodają szczególniejszego wdzięku zewnętrznym przymiotom kobiety. Porządek i czystość, wstydliva skromność, wrodzony takt i zamiłowanie ładu i wdzięku — przedstawiają się Kantowi jako bardzo wysokie przymioty przy wyliczaniu cnót kobiecych; następnie z zachwytem rozwodzi się myśliciel nad przezornością, wesołością i bystrością kobiety jako gospodyni domu, podczas gdy mężczyźni w ogóle są niezadarni i niezadarni. Nawet przekroczywszy granicę młodości, powiada Kant, kobieta nie traci swego uroku; staje się osiłą rodziny, troszczy się o wszystkich ją otaczających, kieruje uciekami młodzieży, rozwesela starców, godzi się z gustami i chęciami każdego, zapominając najzupełniej o sobie. Postawcie na jej miejscu mężczyznę w tych samych latach, a nie znajdziecie ani krzty w nim tych wszystkich cudownych przymiotów. Kobieta „w wieku“ bardzo często bywa przyjemniejszą od młodego dziewczęcia, byleby tylko nie przeciwstawiać się jej, a uwzględniać zawsze jej dążenia i potrzeby.

Co się tyczy małżeńskiego pożycia, Kant powiada, że prawdziwie szczęśliwe małżeństwo może być tylko tam, gdzie mąż i żona składają jedną całość moralną, kierowaną rozumem męża a ożywianą sercem żony. Tam, gdzie małżeństwo stało wyłącznie na podstawie jakiejś żądzy, o szczęściu mowy być nie może; z tą chwilą, kiedy pierwszy żar się ostudzi i małżonkowie poczną więzy obowiązku, stosunek ich staje się wzajemnym jarzmem. W ogóle nadmiar czułości rodzi przesyt; i dlatego, aby przedłużyć obustronne

szczęście, należy zachowywać, jak można najdłużej, świeżość w obcowaniu. Kobieta przez małżeństwo nabywa swobody, gdy mężczyzna, naodwrot, traci ją. Na pytanie: kto powinien być głową w rodzinie? Kant odpowiada: żona powinna panować, a mąż rządzić, dla tego, że miłość panuje, a rozum rządzi. Przypomina to dzisiejszą monarchią konstytucyjną *in thesi*, w której również król panuje, ministrowie rządzą.

Dobry mąż powinien być, według Kanta, dzielny i uniżony ministrem swojej ukochanej monarchini; obowiązany on jest wysłuchać z uległością jej zdania, i ostrożnie tylko napominać, że pieniędzy, naprzykład, zbraknie w kasie na wykonanie takich-to projektów, że są inne pozadomowe potrzeby wymagające gwałtowniejszego zaradzenia i t. d. Słowem, kochana królowa może czynić wszystko, co się jej podoba, lecz pod tym tylko warunkiem, że minister będzie kierował jej wolą. Mężczyzna nabywa, kobieta strzeże i oszczędza. Sama praktyka życia usposobi kobietę do samodzielności i karności, mężczyznę zaś — nigdy.

W sprawie kształcenia i wychowywania kobiet Kant zmija się zupełnie z Rousseau'm, utrzymującym, że kobieta przez całe życie jest tylko dorosłym dzieckiem. Mądry Szwajcar zapewne dlatego tak się wyraził, powiada Kant, że miał na widoku same tylko Francuzki, i prawdopodobnie dla niego samego, jako dla gorącego zwolennika płci pięknej, przygębniąjącą była myśl, iż w jego własnym kraju kobieta nie stoi na wyższym stopniu, nadającym prawo do wyższego szacunku.

Czyniąc kobietę uosobieniem piękna, Kant wyprowadza ztąd zasadę, że rozwój jej umysłowych zdolności powinien iść całkiem odmienną drogą, aniżeli mężczyzny. Sztuki piękne, historia, języki: słowem wszystko, co bardziej poetyczne i lekkie: oto, co powinno wchodzić w krainę jej poznania; znojny zaś i twardy trud zabija zupełnie kobiecość. Kobiętom uczącym się greccyżny, albo prowadzącym rozprawę o mechanice, braknie tylko wąsów i brody do zupełnego podobieństwa z mężczyznami, do nadania wyrazowi twarzy tej myślącej powagi, za którą, dla pozorów tylko, niekiedy tak się uganiają. Oderwane pojęcia matematyki, nawet geometryczne, według Kanta, wcale kobiecie nie są potrzebne, a nawet jej szkodzi, bo spotęgowana praca mózgowa osłabia wrażliwość serca i kobieta przestaje być tem, czem jej być kazała Matka Natura.

Prawo, powiada Kant w swej *Antropologii*, uważa kobietę, w ciągu całego jej życia obywatelskiego, za niepełnoletnią; ojciec, mąż, brat, spełniają rolę naturalnych jej przewodników; wojsować ona nie może, nie może również bronić swych praw osobiście w sądzie, nawet, gdy jest królową. Przy ważnych czynnościach prawno-cywilnych kobieta zawsze musi mieć przedstawicieli z mężczyzn. Lecz tak uznana urzędownie przez prawo za niepełnoletnią, u siebie, w domu, jest ona zupełną władczynią. Tu na pierwszym planie występuje prawo słabego do czci i obrony; czcić też i bronić jest obowiązkiem mężczyzny. Wyraz „słaby“ Kant odnosi tylko do strony fizycznej kobiety, bynajmniej nieodmawiając jej wewnętrznych sił duchowych. Dla spełnienia, jak należy, obowiązków żony i matki rodziny, dla utrzymania się z godnością na stanowisku, potrzeba nieraz olbrzymiej siły woli i wielkiego taktu.

Zastanowiwszy się dobrze nad tem wszystkim, co Kant napisał o kobietach, przekonamy się, że myśliciel ten nad sprawą tą głęboko się zastanawiał wtedy, kiedy jeszcze społeczeństwo bardzo mało i powierzchownie o niej myślało. Nie dał wprawdzie ściśle określonych wskazówek dla wychowania, ale jego poglądy ogólne na naturę kobiety dziś jeszcze posłużyć mogą za bussolę przy dochodzeniu prawdy w tej tak żywej i tak ogromnej kwestyi: Jakie jest znaczenie i jakim powinno być stanowisko kobiety w rodzinie i społeczeństwie?

B. D.

## PRZEGLĄD TEATRALNY.

Modrzejowska w rolach *Frou-Frou* i *Julii* Shakespeare'a. — Żółkowski jako Brigard. — Słówko o tragedyi. — Role: Romea, Mercutio i Laurentego.

Są role, w których jedni artyści stają się wielkimi, a inni znowu, nawet najwięksi, wielkość swoją tracą: taką rolę dla Modrzejowskiej była dawniej, jest obecnie i będzie niezawodnie w przyszłości, jeżeli wogóle jeszcze być ma, *Frou-Frou*. Sara Bernhardt, słuszniej jako Gabryela Brigard podziwiana, tak silnie rzuciła za siebie światło, że z naszej artystki w trzech pierwszych aktach, aż do przełomu dramatycznego, cięć tylko pozostał. Od końca aktu III zaczęliśmy znowu poznawać Modrzejowską, a w przedśmiertnem pożegnaniu widok wlokącej się do męża, z rozboleiałem, zamierającym słowem, z niejednych oczu łzę mógł wycisnąć; z tem wszystkim jednak najpierwsza artystka sceny polskiej dobrze dla sławy imienia własnego uczyni, jeśli tę rolę na półki biblioteczne złoży i zostawi ją takiej wcielonej dyablicy, jaką jest Sara Bernhardt. Niema się zresztą za czem tak bardzo uganiać: sztuka dramatyczna posiada tyle szlachetniejszych, piękniejszych, żywiej i artystycznie wykończonych postaci, że byle tylko umieć wybrać — znajdzie się zawsze czem odświeżyć zasób ról, bez sięgania do tej kałuży, w jakiej sztuce swojej wyplawili pp. Meilhac i Halévy. Samo ukazywanie takich obyczajów, takiego kręgu towarzyskiego, takiego świata, w którym wszystko jest słabe, lekkomyślne lub niekzemne, stanowi już czyn niemoralny, lub do niemoralności zachęcający; moral w takich sztukach tłucze się zwykle jak kobiałka za wozem; nikt na cnotę papierową nie uważa, a żywą niecnotą się przejmują. Sztuki podobne działają taksamo, jak felietonowe traktowanie processów kryminalnych w dziennikach, jak publiczne wykonywanie kary śmierci na zbrodniarzach: lud oswaja się potrosze z tem, co go miało przerazić, i zamiast twardeń, mięknie na występku. Nas, mężczyzn, widok takiej *Frou-Frou* i takiej *Damy z kamelią* nie zepsuje; ale kobiety! Co z nich dla duchowego dobrobytu świata zostanie, gdy zniknie wstręt do rzeczy prawo obyczajowe gwałcących? Ale niedawno zabrany głos w tem piśmie, nie musiał jeszcze przebrzmieć: więc powtarzać go tutaj, byłoby zbyt zbytecznym. Nie wieleby nam do wierzenia pozostało, gdybyśmy zwątpili o tem, że żadna uczciwa matka córki swojej prowadzić nie będzie na takie sztuki, które już dziś w dramaturgii osobny wytworzyły rodzaj — rozpasano-nerwowy — jak żadna uczciwa matka nie pozwoli córce wziąć do ręki pierwszej lepszej książki, zanim ją sama w pierwszej pozna; a pamiętać potrzeba, że teatr działa na umysł wielokroć silniej niż książka.

Dama z kamelią nie jest jeszcze tak złą, jak ta *Frou-Frou*. Pomimo sofistycznego nakręcenia maszyneryi psychologicznej, jest w niej prawda cierpienia, zdolna tragiczne współczucie obudzić; co więcej nawet, ogrom doznanej niesprawiedliwości może na chwilę zatrzeć pamięć tego, czem rzeczywiście była, czem wobec świata być nie przestała; ale ta *Frou-Frou*, która po czterech latach małżeństwa gra na teatrze amatorskim Indyane i bez szalu, bez obłądu odbierającego rozum, bez głębokiej, choćby najpiękniejszej, namiętności, daje lekkomyślnie Charlemagne'owi pocałunek, niby-to z roli samej wypadający; ten ojciec, który ze swoim niedoszłym zięciem spotyka się na wspólnej arenie zapasów o jakąś wietrznicę, a z córką swoją odbywa repetycyę swobodnych śpiewek, potrzebnych do owego teatryku; ta przyjaciółka nakoniec, rada stracić w błoto kobietę z piany i pyłu, i ułatwiająca jej wszelkimi środkami ostateczną zgubę: wszystko to wstrętne, ohydne, przerażające — przerażające właśnie tą łatwością swoją, tem *laisser-aller*, z jakim się dokonywa. Złe zazwyczaj przychodzi jako wypadkowa przemocy nad dobrem; tutaj jawia się ono odrazu bez walki i bez zwycięstwa; zasiewa się wiadomo jak, rośnie samo w gruncie, rozwija się



i pleni. Ojciec i córka wzajemnie się dopełniają: złe ich staje odrazu w sztuce, jak Minerwa w pełnym rynsztunku. Francya potrzebuje może tego, aby jej takie stosunki obnażyć, w takie rany ścigać rękę; ale nigdy nie dokaże tego teatr, zwłaszcza sztukami pisanymi w takim stylu, jak *Frou-Frou*, jak wszystkie sztuki Dumasa młodszego. Tutaj kazalnica tylko i konfesyjonał apostołską missyą nawrócenia spełnić mogą: bez uczciwego, zapalem serca i trwogą rozumu przejętego księdza Francya moralności swej nie odzyska, jeżeli ma co do odzyskania.

Mówiąc o *Frou-Frou*, nie powiedzcie nic o Żółkowskim, który pomimo wieku swego rolę ojca odegrał tak żywo, jakgdyby jeszcze pełnią sił swych rozporządzał, a tak doskonale, jakgdyby podobne role stanowiły specjalność jego, tak długiego i zaszczytnego, zawodu: zaprawdę byłoby grzechem. Ta krótka wzmianka niech mu wielomówne zachwyty zastąpi.

Z obawą szliśmy do teatru na historią dwojga dzieci z Werony; pamiętaliśmy bowiem dobrze, w jaki sposób artystka nasza przed wyjazdem swoim do Ameryki, nie dając się przekonać o istocie charakteru Julii, utraciwszy panowanie nad głosem nienaturalnie trzymkocznym i przebrawszy wszelką miarę w liryzmie, zostawiła nam po tej tragedii szekspirowskiej wrażenie dnia marcowego, wlokącego się ślimaczo, nudnie i szaro. Tak było przed laty; teraz artyzm Modrzejowskiej obdarzył nas niespodzianie pogodą dni alyonowych. Cała rola nawskroś przetworzona, sam nawet układ tragedii zmieniony. P. Modrzejowska przez myślenie i wzory doszła nareszcie do przeświadczenia, że Julia Capuletti nie mogła być taką, jaką ją przedstawiała na scenie naszej; nadała jej więc teraz życie, porywczosć, zapal niecierpliwy, bez którego ani jej słów, ani jej błyskawicznego zakochania się w pięknym pielgrzymie, ani szalonego małżeństwa, ani nakoniec odwazienia się na napój usypiający, pojąć nie podobna. Wszystko, od początku do końca, zmianie uległo, a sam układ sceniczny, zdaje się, dzięki artystce, ulepszony, znakomicie do uwydatnienia głównych ról, do porządnego toku całej sztuki, się przyczynił. W najpiękniejszej i najsławniejszej ze wszystkich scenie balkonowej, na drugim przedstawieniu, przy szczęsnem usposobieniu głosu, była i miłość gorączkowa i żalność i naiwność rozumu serdeczna, prawdziwa, taka, jakiej sztuka dla siebie potrzebuje. P. Derynżanka, której publiczność warszawska zawdzięcza pierwsze właściwe pojęcie Julii, niedawno grała tęsamę scenę. Porównanie daje taki wynik: że malowidło wytworzone przez Modrzejowską, będąc równie wiernem ideałowi Shakespeare'a, jest o wiele delikatniejszym, posiada więcej czystości i wdzięku, silniej urokiem kobiecości przyciąga. Dzisiejsza Julia Modrzejowskiej wszelkie porównanie wytrzymuje i wszelką też nieprzychylną krytykę lekceważąc sobie może.

Scena balowa (Akt I) w nowym układzie wiele zyskała. Julia nie siada już, jak dawniej, na umyślnie przygotowanym krześle, aby naprzód obmyślony utrzymać pocałunek, ale niespodziewanie przez pielgrzymę, w opustoszałej na chwilę sali balowej, zaskoczona, poddaje się słodkiej jego przemocy. Jestto lepsze, niż owe rozsiadywanie się w fotelu, ma więcej w sobie zręczności i prawdopodobieństwa. Dla pełności wrażenia balu potrzeba-by go jeszcze dopełnić, ożywić, wzbogacić muzyką, światłem i gwarem. Muzyka tym razem chorała; dawniejszy madrygał Gounoda lepszym był od tego czegoś, co obecnie zza sceny wyłaziło, a było tak niewyraźnem, że nawet dobrze pochwycić się nie dało.

W scenie I, aktu III, najoporniejszej, i dla krytyki estetycznej, i dla artystek odtwarzających Julię, Modrzejowska dodała w zakończeniu płacz, którego Shakespeare nie wprowadził, ale też i nie zakazał. Płacz ten nie jest wcale charakterowi Julii przeciwnym: owszem, zgadza się z jej wzbuchoną naturą. Julia nie jest Kleopatram, a spada na nią, pomiędzy ślubem a sceną porannego sporu o śpiew słowika, nieszcześnie tak wielkie, serce jej rwie się do ukończenia tak silnie, że umysł jej mógł bez sprzeniewierzenia się charakterowi równowagę utracić i oddać się w moc bo-

leści. Inny moment tej sceny uwagę naszą zwrócił. Julia, dowiedziawszy się o śmierci Tybalda, zlorzeczy Romeowi; czyni to wprawdzie w sposób bardzo podniosły, poetyczny, ale koloryt jej słów jest taki, a nie inny. Ilekroć zastanawialiśmy się nad tem zlorzeceniem, nie mogliśmy go inaczej wyrozumieć, tylko jako reakcją mimowiedną ducha rodzinnego przeciwko duchowi jednostkowemu, który się żądzą i wolą swoją od rodziny odrywa. Ale reakcja krótką tylko trwa chwilę; Julia na to jej tylko uległa, aby tem skorze przez drogę nieprzepartego już losu, własnym zgotowanego czynem, powrócić. Przepaść logiczna leży pomiędzy *O serpent heart!... a Shall I speak ill of him, that is my husband?* — ale od czego artystkin, od czego ów trud niepoctywy, co-to łamie i rozbija, aby mostu przez taką przepaść rzucić nie mógł? Nam się zdaje, że pierwszy wybuch, dla Romea niekorzystny, potrzeba oile możności umiarkować w wysłowieniu, a raczej w tonie; drugi zaś wypowiadać zrazu jakby monolog, jak rozmowę z samą sobą, i stopniowo dopiero go wzmacniać aż do pierwszego *Romeo is banished* (v. 122). Odtąd już słowa Julii jak lawa gorąca płynąć powinny. Miłość już teraz zna tylko siebie samą.

Ani scenie z napojem, ani poprzedniej u Laurentego, nie brakło siły dostatecznej do wrażenia choć siła nie stanowi głównego ich przymiotu. W ostatecznem zdaniu przyjemnie nam powiedzcie, że postać Julii oddawana obecnie przez Modrzejowską zostaje w pamięci i uważniejszego widza miłem darzy wspomnieniem, jako rzecz artystycznie piękna.

P. Ładnowskiemu do roli Romea braknie, i twarzy, i głosu. Romeo musi być bardzo młodym i bardzo pięknym, nietylko przez rysy swoje, ale i przez słodycz rozmarzenia, później przez zapal i poryw duszy, która, wyzwoliwszy się nareszcie z okowów tęsknoty, odtrąca od siebie niedołęzne modlenie się do takich ideałów, jak Rozalinda. Artysta wie jak grać, ale nie gra tak, jak wie. Tymczasem widz jest największym tyranem i najzwziętszym realistą na świecie; nie u niego nie ważą najlepsze chęci: on chce rzeczywistości piękna. Nikt nie znajdzie u niego wymówki i usprawiedliwienia, że nie mógł lepiej, że zrobił wszystko, co mógł. Umysł odbierający wrażenie od pięknotwórstwa, pięknych też domaga się wytworów, i jeśli zjawisko, z jakichkolwiek przyczyn, pięknem nie jest, uznania jego znaleźć nie zdoła. Ponieważ Romeo musi być młodym i powabnym, a ma rolę trudną, więc gdy *ars longa, vita brevis*, rolę tę w Niemczech powierzają zazwyczaj kobietom. Dobrem tego nie nazwiemy, ale w danych warunkach za znośne możemy uznać.

Przepysny Mercutio, ze swoim niezapomnianem „Bierz lichu oba wasze domy!“ miał przedstawiciela w p. Szymanowskim. Tęsamę rolę grał niegdyś Stolpe: p. Szymanowski zagrał ją lepiej; tylko mistrzowski ów rys, ten wykrzyk wyrażający żal za życiem, tak nędznie, za nic, oddanem, wymaga głębszego, bardziej uczuciowego wyrazu: właśnie progiem tej żalności dusza męznego, prawego, dzielnego Mercutia, cała, jak jest, schodzi ze świata.

Ojciec Laurenty po Chęcińskim dostał się p. Krogulskiemu. Co się z nim stało, jaki go okrutny los spotkał: tego mówić nie potrzebujemy. Czy niema nikogo w teatrze, ktoby mógł i chciał tę rolę mnicha-mędrca jak należy wykonać?

S. K.

## WIADOMOŚCI

### Literackie, artystyczne i naukowe.

W Nr 6 *Bluszczu* wyraziliśmy wątpliwości, jakie wobec zupełnego milczenia świadectw historycznych i niemożności odnalezienia dowodu, zapowiedzianego przez p. Pika, obudzić musiał dar jego na ręce komitetu Muzeum Przemysłowego zło-

żony. Przypominając główne fakta do losów Zgromadzenia Pijarskiego w Warszawie i jego instytucji odnoszące się, zostawiliśmy jedno tylko miejsce, zarówno dla domniemania, jak i dla rzeczywistości: to mianowicie, że serce Konarskiego, jeżeli, jako pamiątka, osobno istniało, znajdować się mogło, nie na Zoliborzu, lecz wyłącznie tylko w dawnej, od czasów Władysława IV i Jana Kazimierza, siedzibie Pijarów przy ulicy Długiej, gdzie był zarazem i kościół ich, pod wezwaniem św. Pryma i Felicjy przed półwiekiem jeszcze istniejący. W granicach tej możliwości zjawilo się współcześnie z przypomnieniem naszym świadectwo stwierdzające, już nie prawdopodobieństwo domniemania, ale rzeczywistość faktu, iż serce Konarskiego znajdowało się istotnie przed 1834 r. w murze pomienionego kościoła przy ulicy Długiej, wewnątrz świątyni — zapewne w rodzaju wnęki czy wgłębienia zastosowanego do rozmiarów i kształtu pamiątki. Ostatni od roku 1858 do 1864 prowincyał Pijarów w Polsce, ksiądz Franciszek Kasterski, mieszkający obecnie w Błoniu pod Warszawą, *kapłańskim słowem* swoim ręczy, że po wstąpieniu do zakonu przez dwanaście lat patrzył w kościele pijarskim przy ulicy Długiej, na serce Konarskiego, w murze kościelnym umieszczone. Wobec tak poważnego świadectwa ksiądz A. Słotwiński, rektor kollegium pijarskiego w Krakowie (jedynego już dzisiaj w całym kraju), postanowił nie czekać dłużej na owe dokumenta przez p. Pika zapowiedziane, a nieszcześnie, jak widać, zagubione, i w dniu 13 Lutego r. b. dopełnił aktu wprowadzenia pamiątki do Kościoła Pijarskiego przy ulicy Ś-go Jana w Krakowie. Na uroczystość tę liczne wyszły zaproszenia, pomiędzy innymi i do naszej Redakcyi, ale nie wszyscy z nich skorzystać chcieli lub mogli. Zwierzchność szkół średnich w Krakowie pięknie się pokazała, zwolniewszy uczniów od nauk i zaleciwszy im znajdowanie się na nabożeństwie i złączonym z niem akcie przeniesienia. Akademia i Uniwersytet trzymały się zdala: oczywiście, nie z żadnych innych pobudek, tylko z braku naukowego przeświadczenia o prawdziwości i tożsamości pamiątki.

Po odprawieniu nabożeństwa, podczas którego serce w odpowiednim zawarcu znajdowało się na katafalku, ozdobnie przybranym, umieszczono pamiątkę nastąpiła już w presbyteryum, z prawej strony wielkiego ołtarza. Jeden z rodziny Konarskich, która rozrosła się w Galicyi z Michała, Kasztelana Wiślickiego, rodzzonego brata księdza Stanisława, hr. Stanisław Konarski, ofiarował na kosztą sprawienia pięknej tablicy pamiątkowej 500 zł. reń. Dodać wypada, że Lenartowicz z Florencyi nadesłał umyślnie napisany utwór poetyczny, a ksiądz Chromecki Tadeusz, autor *Rysu dziejów Zgr. Szk. Pobożnych w Polsce*, z kazalnicy zasługi wielkiego obywatela wyłożył.

*Kuryer Poranny*, powtórzywszy w całości, w numerze z d. 13 b. m., przypomnienie nasze z numeru 6 *Bluszcza*, dodał od siebie wskazówkę, że w *Cmentarzu Powązkowskim* K. Wł. Woycieckiego, znajduje się wiadomość o złożeniu w tej nekropoli (około 1834 r.) śmiertelnych szczątków wroga *liberum veto* i apostoła porządku w myślach, sercach i instytucjach narodu. Samo udzielenie tej wskazówki dowodzi żywszego niż w innych pismach zajęcia się Konarskim i wszystkim, co tej, tak prawej i rozumnej, a przez zawistnych dziś jeszcze lekkomyślnie szarpanej, postaci dotyczy. Dla rozbudzonej od lat kilku pamięci nie mało uczyniłby ten, ktoby, mając czas i środki odpowiednie, podjął się odnalezienia jeszcze poza kościołem powązkowskim, pomiędzy jego murem zewnętrznym a kazalnica żelazną, tej części prochów, podczas rugowania Pijarów z dwuwiekowej blisko siedziby tam pogrzebanych, która na dział szczątków śmiertelnych Stanisława Konarskiego przypada, a odnalazłszy, godnem jej pochowaniem się zajął. Wzmianka w *Cmentarzu* jest tak mętną, że bez szczegółowego przejrzania i zbadania ksiąg cmentarnych z lat 1833/36, nie podobna będzie czynności rozpocząć. Ale czy się kto do podjęcia jej znajdzie? Nam wszystko tak trudne i tak oporne.

— W rubryce niniejszej mamy obowiązek zaznaczyć skon *Gustawa Zielińskiego*. Zmarł ten poeta i historyk w jednym z ostatnich dni Listo-



pada r. z., w majętności swojej Skepe w Lipnoskiem. Jest on autorem głośnego niedgdyś poematu *Kirgiz* i późniejszego *Stepy*, — obu pisanych z wrażeń, których doznał daleko, bardzo daleko od domowego ogniska, pomiędzy 1834/42. Zieliński urodził się w 1801 r. w powiecie Inowrocławskim; uczył się u Pijarów w Warszawie, potem w szkole Wojewódzkiej Płockiej, zkąd przeszedł do Uniwersytetu Warszawskiego na wydz. prawa. Po powrocie do kraju osiadł w Skępem i tu mieszkał aż do śmierci. Lutnię poetycką zamienił na pióro badacza przeszłości ojczyznej; poświęcił się poznaniu stosunków rolnych, wydał opis *Ziemi Dobrzyńskiej*, ogłosił obszerną monografią własnego rodu — dzieło dwutomowe, dziś już wyszłe zupełnie zprasy drukarskiej. Zbieracz zamilowany książek, piękną księżnicę zostawił w Skępem<sup>1)</sup>. Do ważnego bardzo działu dokumentów historycznych, zwanego *Lauda*, zostawił i staraniom Akademii Krakowskiej porucił, zbiór uchwał sejmików instrukcyjnych Ziemi Dobrzyńskiej. Archiwum to wkrótce już ukaże się w druku. Wybitniejsze wspomnienie o zmarłym podał *Tygodnik ilustrowany* z 1881 r. w Nr. 311 i 312.

— Katedra Literatury Słowiańskiej w Uniwersytecie Bolońskim, istniejąca już z woli ministrów włoskich, choć dotychczas jeszcze stale nieuposażona i nieobsadzona, wkrótce, według wszelkich przewidywań, otrzyma zatwierdzenie przez parlament, a wtedy też zamianowanym będzie i stały professor, na stałym etacie wydziału oświecenia. Jak nam z dobrego źródła donoszą, najwięcej widoków zajęcia tego stanowiska, tak zaszczytnego i zobowiązującego, ma Dr Artur Wołyński, zasłużony badacz działalności naukowej i kolei życia Kopernika w Italii i twórca Muzeum Kopernikowskiego w Rzymie, a przytem znawca przeszłości naszej, w życiu i w piśmiennictwie. Z istniejącej dotychczasowej katedry przemawiał niedawno Teofil Lenartowicz, obecnie zaś, zachęcony przez Uniwersytet Boloński i samego ministra słowami gorącego uznania dla odczytu, który już był powłoką, dla słuchaczy włoskich, wypowiedział, dał się nakłonić do wygłoszenia nowego odczytu i przygotowuje go na Maj. Za przedmiot wykładu obrał sobie poeta nasz *Maryę Malczewskiego* i jej autora; z przygotowań i zarysu widać, że praca ta przekroczy ciasne ramy ścisłej piśmienniczości i o całość duchowego rozwoju potraci. — Opracowywanie tego odczytu, którego sama treść dużo czasu zabiera, a forma — żywe słowo włoskie — z niejedną trudnością łamać się każe, odebrało Lenartowicza od ostatecznego wykończenia większego poematu, z którego drukowaliśmy niedgdyś w *Bluszczu* wyjątek pod tytułem: *Tryumf Trajana*. Pisma codzienne nieco przedwcześnie doniosły były o wykończeniu już zupełnym tego utworu.

— Nakładem Towarzystwa Pedagogicznego we Lwowie wyszedł dalszy ciąg *Spiewnika dla ochronek, szkół ludowych i wydziałowych*, przeznaczony dla klasy II i III. (Lwów, druk K. Pillera, 1881, str. 89 i 2 k. nłb., in 12-mo). Ułożył ten spiewnik p. Jan Czubski, nauczyciel przy seminarjum nauczycielskim mężkiem we Lwowie. Spis obecnej, drugiej, części obejmuje 31 pieśni dla klasy drugiej i 40 dla trzeciej. Temata ich ponętne dla dzieci, wierszowanie poprawne, nawet niedgdy i w rzeczy wista poetyczność, przy większości prawdziwie pięknych a łatwych melodyj, zalecają wydawnictwo to, nietylko zwierzchnikom szkół, ale i ogniskom rodzinnym, które mogą bez wysiłku dzieciom swym zapewnić zabawę, przyjemność, żywioł rozwijający poczucie piękna, tak ważne w życiu. Brak spiewów w wychowaniu, zwłaszcza chłopców, jest jednym z tych, któreby kalec-

twem nazwać można. Spiewy wspólne nietylko daje zajęcie, zabawę, przyjemność, ale jest zarazem środkiem działania pedagogicznego, powiedzieć można, przyczynia się do pewnej zwartości społecznej. Niemcy wysoko ten dział szkolnictwa swego postawili i wiele mu zawdzięczają. P. Czubski do brze się zasługuje swoim wydawnictwem, chcąc mu nadać charakter jaknajbardziej swojski. W zbiorze obecnym, oprócz jego własnych melodyj, spotkaliśmy albo ludowe, albo też samych tylko rodzinnych kompozytorów, jak: Szopena, Moniuszki, Kurpińskiego, Nowakowskiego i Dobrzyńskiego. Cudzoziemczyzny ani do zabawek dziecinnych, ani do spiewów dopuszczać nie wolno; pod pierwszym względem grzeszymy ciągle, grzeszymy niepoprawnie.

— *Gazeta Polska* z r. b. w N-rze 31 i 32 streściła zajmujący wyjątek z nieznanego dzisiejszemu pokoleniu, bo nawet przez Bentkowskiego niewspomnianej, książki, którą XX. Franciszkanie wileńscy wydrukowali u siebie w roku pańskim 1754. Napisał ją Ludwik z Bończe Sienicki, z kalwinizmu na katolicyzm nawrócony, i głównie sprawie tego nawrócenia ją poświęcił. Tytuł jej, *ad hoc*, w duchu owych czasów ułożony, brzmi: *Dokument osobliwszego miłosierdzia, cudo wnie z kalwińskiej sekty pewnego stugę i chwałę swego do Kościoła Chrystusowego pociągający (sic)*.

Książka pod tym tytułem obejmuje, najdawniejszy zapewne, a nawskroś oryginalny, opis Syberyi przez człowieka, któremu los wcześniej niż innym jego współrodakom poznać ją nakazał. Podczas wojny Augusta II i jego sprzymierzeńców z Rzplita Sienicki, regimentarz wojska litewskiego, dostał się razem z bratem swoim, generałem artylerji, do niewoli; zakuty w kajdany, odesłany do Moskwy, po trzech latach wywieziony do Tobolska i dalej, cały czas od 1709 do 1722 lub 3 na Syberji spędził. W Tobolsku jakiś „wojewoda“ który był niedgdyś w Polsce, ulitował się i wyjednał obu jeńcom prawo swobodnego zamieszkania w Jamie, gdzie sam rezydował. Wywzajemniając się za ludzkość, Sienicki zaczął już spokojnie syna owego wojewody wyczuć łaciny, kiedy naraz, jak grom, spadł na niego rozkaz, żeby go natychmiast wraz z bratem do Jakucka, o „pięć tysięcy wiorst“ wywieźć. Pojechali więc drogą wodną po Irtyszu i Obi. W drodze zmarł generał; pozostały brat własnymi rękami grób wykopął, krzyż postawił, lecz ledwo znad mogiły powstał, powleczono go dalej. Nie dano czasu na żalność; droga na sam kraniec lodowatej północy była tak daleka, niezmiernona, nieznaną i straszną! Wzięzionemu do Jakucka niekiedy tylko wichur przynosił skargę cichą z samotnej mogiły brata. Na Jenizejsk — jak twierdzi Sienicki, — Ilimsk, (w gub. Irkuckiej) i dalej Leną dostał się wreszcie jeniec do Ziemi Jakutów, gdzie około dwunastu lat przebył. Uwolniło go dopiero wstawienie się Rzplitej za pośrednictwem Stanisława Chomętowskiego, hetmana polnego koronnego, znanego z poselstwa do Turku.

Zarówno w podróży, jak podczas pobytu w Tobolsku, i następnie pośród Jakutów, miał Sienicki sposobność poznać obyczaje dzikich ludów zamieszkujących tę nieogarnioną do dzisiaj jeszcze i niezbadaną dokładnie przestrzeń ziemi, którą geografja nazwają Syberji ochrzciła. Opowiadania wydarzeń i stosunków, charakterystyki całych gromad z rodzaju *homo*, domniemania i podania geograficzne, nakoniec i własne przygody jeńca — mają tem większą wagę, że były jednymi z najpierwszych i najwiarogodniejszych w literaturze całego świata. Pisano o Syberji już w XVII w., ale jeszcze w pierwszej połowie XVIII bardzo mało o niej wiedziano w Europie, a to, co opowiada Sienicki, w poważniejszych nawet umysłach zajęcie wzbudzić mogło. Za jego czasów na wiele dziesiątków mil przed Uralem, nieomal za samą Moskwą, w pełni krzewiło się i kwitło bałwo-

chwałstwo. Czuwassy i Czeremissy mieli *batwanki domowe*; Permiacy czcili *ogień*; Wagulicze składali cześć *koniom*; bóstwem Ostyaków była woda; Samojedzi wierzyli w *posążki* wyrobione z miedzi; Tunguzi modlili się do *czarnego niedźwiedzia*; Braty (jak domyśla się sprawozdawca *Gazety Polskiej* dzisiejsi Buryaci) oddawali cześć boską *krowie*; bogiem Jakutów był *tabedź*; nieznanym dziś narodek „Zamutków“ z poprzednim wieczną toczącą wojnę, czcił *białego niedźwiedzia*; jakiś inny znowu narodek padał na twarz — wybaczcie — przed *świnia*; ale byli też i „ludzie z Kamczatki, co mieli lepszy gust i czcili *orta*“.

Nazwę Samojedów Sienicki ztąd wywodzi, że mięso zabitych przez siebie zwierząt nasurowo, z ciepłą krwią jeszcze, jedzą. Wszystkie te ludy, żyły, tak, jak i dzisiaj żyją, z polowania. Tunguzi po zabiciu czczonego przez siebie czarnego niedźwiedzia, przepraszali go za tę niegrzeczność; była to ich kanoniczna formuła religijna. Do pociągów używano psów i jeleni, żywności dostarczało mięso zwierząt, jagody, korzenie roślin. Na porzeżach żywiono się rybami. Jakuci byli amatorami szczurów i innych gryzoniów. Wszystkie te ludy hołdowały polygamii i u wszystkich zapewne sprzedawano i kupowano kobiety, tak jak to wyraźnie mówi Sienicki o Jakutach. W obyczajach tych szybko wymierających plemion Syberyi niewiele podziśdzień zmienić się musiało.

Oryginalny rodowód daje nasz autor Jakutom, trzymając się w tem podania zasłyszanego na miejscu. Mieli oni być rodem ze Szwecyi; uciśkani przez Szwedów, opuścili niegościnną ziemię, wraz z żonami i dziećmi, i puściwszy się na morze, przez wichry zapędzeni do Syberyi, wylądowali, spędzili Tunguzów, w części wytepli i zajęli całą ziemię, którą od imienia ich później Jakucką nazwano. Podróżnik powtarza to podanie z całą naiwnością, przytaczając na jego po parcie tę okoliczność, że „jakucki naród odmienny jest i mową i ubiorem od wszystkich tamecznych narodów; mowę osobliwą mają, ubiór zaś naksztalt szwedzkiego, tylko wszystko ze skór zwierzęcych, opięto, krótko, z tyłu rozpory“.

O narodach sąsiadujących z Syberją wie Sienicki tyle, że n. p. Mungali (Mongolowie) pod władzą chińską zostają, „a tych Mungałów liczą samych królestw dwadzieścia i siedm“. Poznał autor nasz Japończyków. Ci powiedzieli mu, że ich państwo ma trzysta wysp, a cesarz tytułuje się „Imperator Wielki“. W owych czasach żyli się Japończycy samemi tylko roślinami, spożywanie mięsa za grzech śmiertelny uważając. Wino ze wstrętem smoczą krwią nazywali. Od tych Japończyków dowiedział się Sienicki, że niedawno przedtem zmarły ich monarcha przyjął był religiję katolicką; ale wkrótce wybuchnął bunt: wymordowano wszystkich nawróconych wraz z cesarzem i odtąd każdego chrześcijanina z Europy wszadano do klatki żelaznej. W branie przez którą każdy wehodzić musiał, położono krucyfiks: chcąc zatem wejść trzeba się było zaprzeć Chrystusa. Nic sobie z tego nie robili chciwi na zysk Holendrzy i sprośnie wyobrażenie Boga rozpiętego na krzyżu deptali, mieniając się nie chrześcijańskie, ale „holenderskiej“ (!) religii. Słyszac to, Sienicki, podobnie jeszcze religii reformowanej, zdrętwiał, a oburzenie i wzgarda, raz zawitawszy do serca, zerwały węzły jego z dawnym wyznaniem i ukazały mu jedyną prawdziwą wiarę w katolicyzmie. — Ciekawa książka i wartoby nawet jej część podróźniczą przedrukować.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się 6-ty arkusz powieści pod tyt.: **Stoczona walka**.

1) Mieści się w niej podobno 30,000 tomów, dzieł przeważnie Polski dotyczących. (P. Red.)

**TREŚĆ.** Paulina Krakowowa, (zyciorys), przez M. Ilinicką. — Na Bialskim Zamku, powieść historyczna, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Kartka do dziejów cywilizacji, przez Dra Antoniego Rehmana. — Sąd Kanta o kobietach, przez B. D. — Przegląd teatralny, przez S. K. — Wiadomości literackie, artystyczne i naukowe.